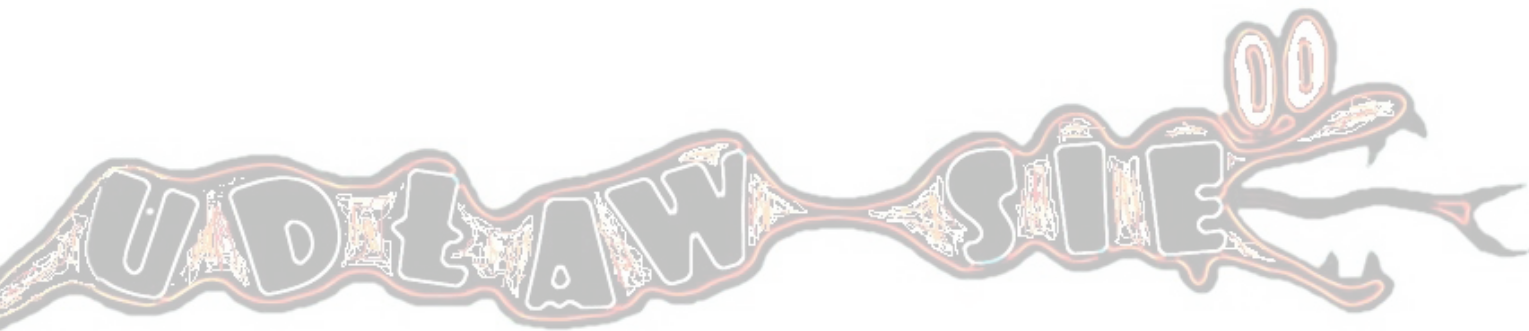




Redakcja

Michał Bisiorek

Franciszek Porayski-Pomsta

Maciej Mroczek

Dominika Kurowska

Kajetan Chlipalki

Ola Kozakiewicz

Olimpia Delgado Górecka

Jerzy Kozak

Numer 1/2017 (2) – Czerwiec

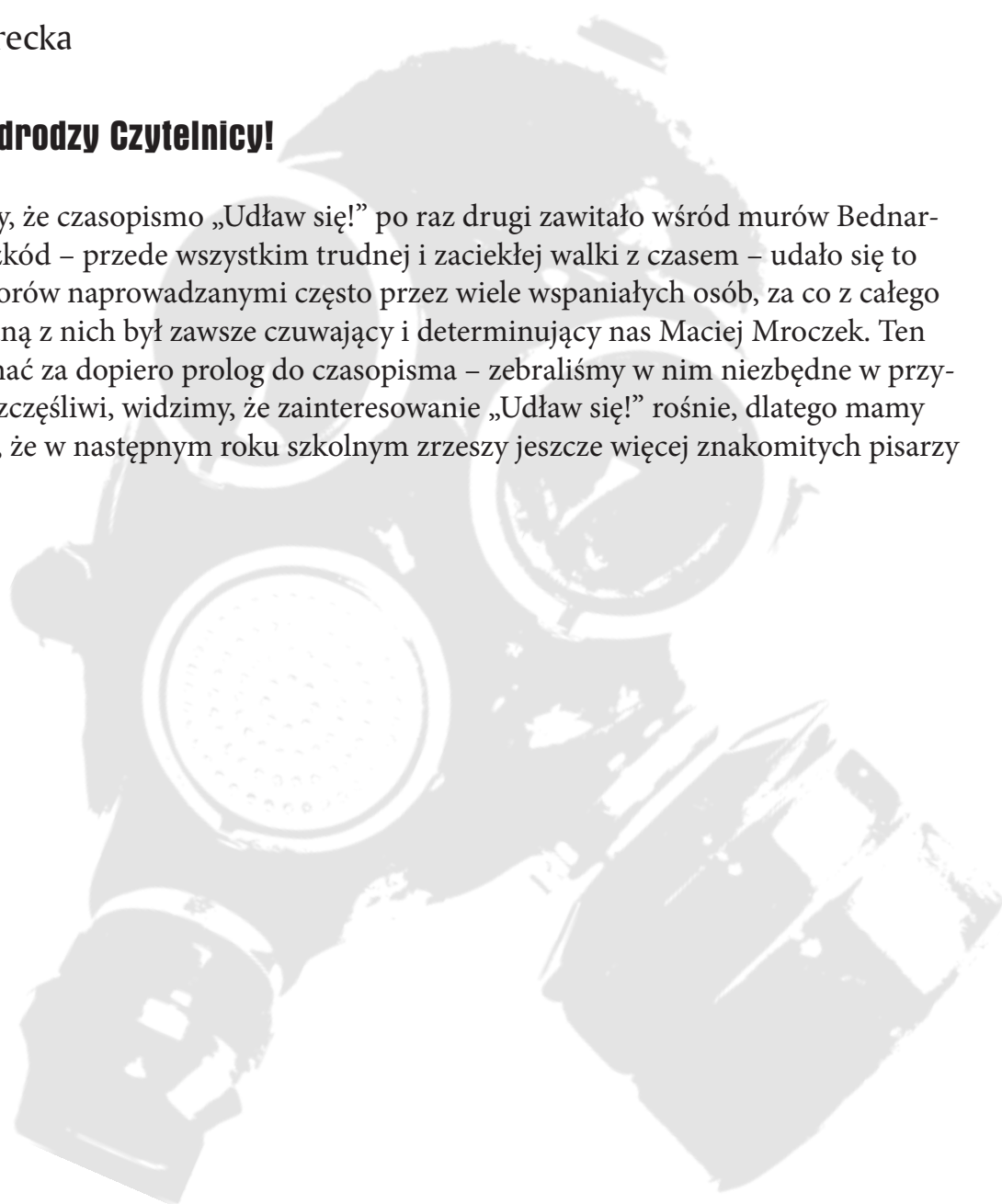
Kontakt

Redakcjaudlawsie@gmail.com

Drogie Czytelniczki, drodzy Czytelnicy!

Niezmiernie się cieszymy, że czasopismo „Udław się!” po raz drugi zawitało wśród murów Bednar-
skiej. Mimo wielu przeszkód – przede wszystkim trudnej i zacieklej walki z czasem – udało się to
osiągnąć piórami redaktorów naprowadzanymi często przez wiele wspaniałych osób, za co z całego
serca im dziękujemy. Jedną z nich był zawsze czuwający i determinujący nas Maciej Mroczek. Ten
rok szkolny możemy uznać za dopiero prolog do czasopisma – zebraliśmy w nim niezbędne w przy-
szłości doświadczenie. Szczęśliwi, widzimy, że zainteresowanie „Udław się!” rośnie, dlatego mamy
powody do przekonania, że w następnym roku szkolnym zrzeszy jeszcze więcej znakomitych pisarzy
i artystów.

**Z podziękowaniami,
Redakcja „Udław się!”**



Spis treści

SPOŁECZNOŚĆ

Udław się smogiem! – Franciszek Porayski-Pomsta – Strona 4

TEATR

Recenzja „Rocky Horror Bedna Show” – Nikki Kurowska – Strona 8

Wywiad z twórcami „RHBS” – Nikki Kurowska – Strona 10

Wywiad z aktorami „RHBS” – Nikki Kurowska – Strona 12

KINO

Recenzja filmu „Powidoki” – Franciszek Porayski-Pomsta – Strona 14

Recenzja filmu „Sztuka kochania” – Ola Kozakiewicz – Strona 14

Recenzja filmu „Piękna i Bestia” – Olimpia Delgado Górecka – Strona 15

Koniecznie sprawdź te seriale – Michał Bisiorek – Strona 15

MUZYKA

Greg Graffin „Millport” – Maciej Mroczek – Strona 16

Gorillaz w Polsce! Wrażenia z koncertu – Michał Bisiorek – Strona 16

KOMIKS

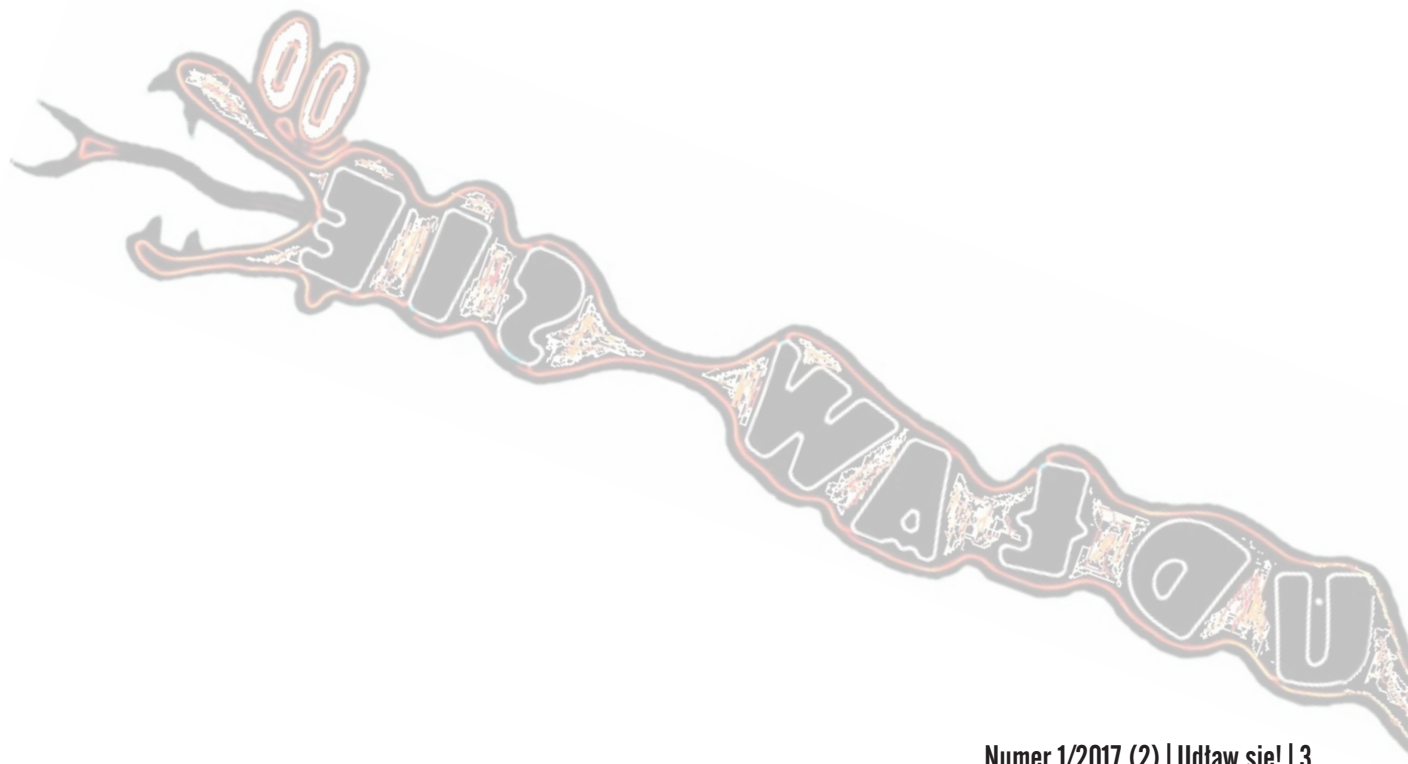
Recenzja Ms. Marvel – Niezwykła – Michał Bisiorek – Strona 17

NASZA TWÓRCZOŚĆ

Opowiadanie „Lekcje obiecane” – Franciszek Porayski-Pomsta – Strona 18

HUMOR

Historie z życia wzięte – Kajetan Chlipalski – Strona 22



Udław się smogiem!

Franciszek Porayski-Pomsta

W grudniu zeszłego roku temat smogu w końcu przebił się do powszechnej świadomości. Doczekaliśmy się nawet reakcji miasta - 15 grudnia wybuchł pierwszy w historii warszawski alarm smogowy skutkujący decyzją Ratusza o uruchomieniu darmowej komunikacji miejskiej. 9 stycznia miasto zareagowało podobnie. Może się wydawać, że jest to tylko niewiele znaczący gest, a nie realne rozwiązywanie problemu. Jednak ta niewielka reakcja jest, po pierwsze, przyznaniem się miasta do słabej jakości powietrza w Warszawie; po drugie wzięciem odpowiedzialności za nie, co może stać się początkiem czegoś większego – wojny ze smogiem.

Czym jest smog?

Smog to zanieczyszczenie powietrza spowodowane przez pyły, gazy, pary emitowane przez zakłady przemysłowe, silniki spalinowe pojazdów mechanicznych itp., utrzymujące się nad miastami czy okręgami przemysłowymi. Samo słowo „smog” powstało ze zlepku angielskich słów – smoke (dym) i fog (mgła). Głównymi składnikami smogu są pyły PM 10 i PM 2,5 (liczby oznaczają średnicę w mikrometrach), z czego ten drugi jest groźniejszy, gdyż przedostaje się bezpośrednio przez płuca do krwi. Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) aż dziewięciu na dziesięciu ludzi na świecie żyje w środowisku, w którym poziom zanieczyszczenia powietrza jest nadmierny. Smog jest przyczyną aż trzech milionów zgonów rocznie.

Smog w Polsce i Warszawie

W maju zeszłego roku WHO przedstawiło przykrą sytuację polskiego powietrza – z raportu organizacji wynika, że spośród 50 najbardziej zanieczyszczonych europejskich miast aż 33 znajdują się w Polsce. Na pierwszym miejscu – Żywiec. 10. pozycję zajmuje Kraków. Wiele z tych miast jest położonych oczywiście w tradycyjnie zanieczyszczonym śląskim okręgu przemysłowym, ale mazowieckich miast też nie brakuje, przykładowo Tomaszów Mazowiecki i Rada Mazowiecka.

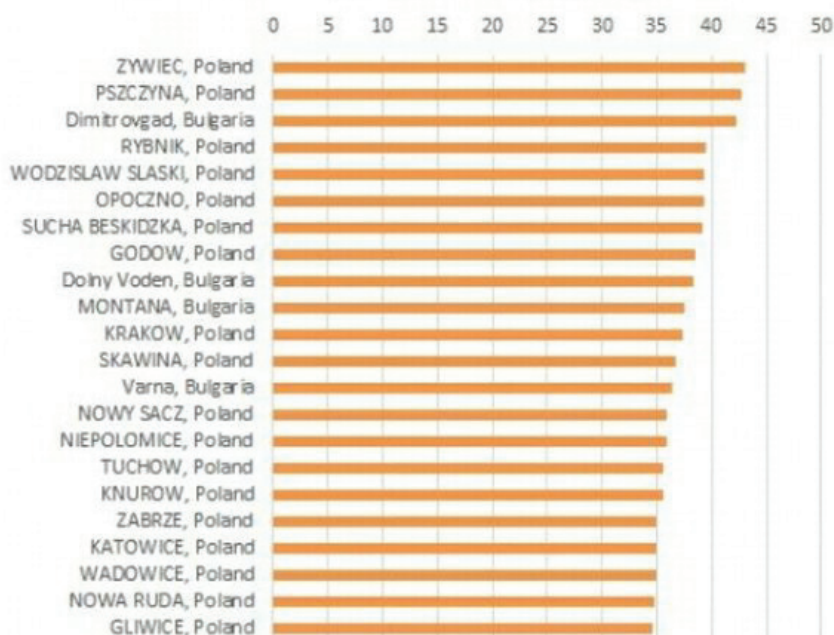
Normy unijne przekraczane są w naszym kraju regularnie (czasami nawet o 1000%!), bezpośrednio z powodu smogu w Polsce rocznie umiera aż 45 tys. osób! Dla porównania, w wypadkach komunikacyjnych ginie 3 tys. Warto podkreślić, że dobowy poziom alarmowy

stężenia PM 10 dla całej Polski to 300 $\mu\text{g}/\text{m}^3$, a norma unijna wynosi 50 $\mu\text{g}/\text{m}^3$. To ponad trzykrotnie wyższy poziom niż we Francji i aż sześciokrotnie niż w Macedonii. Gdyby alarm był ogłaszany przy poziomie wyznaczonym przez Unię, alarm smogowy zimą moglibyśmy mieć co drugi dzień!

W Warszawie są dwie równorzędne przyczyny smogu. Według danych Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska komunikacja odpowiada w 55% za występowanie pyłów PM 10 i w 29% za PM 2,5, więc średnio za 42% pyłów PM. Jest to duża liczba i bez tak ważnego kroku, jak zmniejszenie do minimum zanieczyszczeń z komunikacji, ze smogiem niewiele zrobimy. Za resztę odpowiada palenie w piecach i kominkach.

Most polluted cities and towns in the EU

Annual average PM2.5 level (ug/m3)



Smog z pojazdów

To pojazdy indywidualne są odpowiedzialne w większości za smog pochodzący z komunikacji. Średniej wielkości autobus może pomieścić około stu osób, którzy zmieściliby się w co najmniej czternastu samochodach osobowych (wiadomo jednak, że w tego typu pojazdach zazwyczaj jeżdżą jedna, dwie osoby). Stołeczni kierowcy powinni się przesiąść więc do transportu miejskiego. Często słyszymy jednak od nich wymówki, że zrezygnowaliby z samochodu, gdyby było metro, porównując tym samym Warszawę do Londynu, Paryża i innych wielkich miast. Póki co nie ma co liczyć na dorównanie londyńskiej komunikacji podziemnej, która ma przecież aż 150-letnią

tradycję, gdy warszawska niewiele ponad dwudziestoletnią. Do tego, chociażby nawet powstało siedem kolejnych linii metra w Warszawie, i tak nie każdy malkontent miałby je pod nosem.

Dlatego też powinniśmy się skupić na ulepszaniu tego, co mamy: wyznaczając buspasy na wylotówkach i szerokich ulicach (m.in. ul. Prymasa Tysiąclecia, Puławskiej, al. Krakowskiej, al. Jana Pawła II), budując nowe trakcje kolejowe dla pociągów SKM, WKD czy KM, które dla większości mieszkańców przedmieść stanowią jedyne alternatywne źródło transportu, ograniczając ruch w centrum miasta, a także stwarzając wygodne miejsca przesiadki z

samochodu do komunikacji miejskiej przy wylotówkach, jakimi są parkingi Parkuj i Jedź. Bardzo dobry krok w kierunku upowszechnienia transportu miejskiego uczynił ostatnio ratusz, ustanawiając darmową komunikację dla uczniów podstawówek i gimnazjów.

Bardzo ważne jest sprawdzanie pojazdów mechanicznych pod względem emisji spalin. Mimo że policja posiada sprzęt do tego typu kontroli, to według Zielonego Mazowsza – niezależnej organizacji ekologicznej, działającej na rzecz ochrony środowiska głównie w Warszawie i na Mazowszu – pod tym kątem sprawdzany jest tylko jeden samochód dziennie. Dotychczasową rolę policji mogłaby przejąć Straż Miejska. W Berlinie zastosowano przejrzysty sposób: w centrum miasta obowiązuje tzw. „strefa LEZ” (low emission zone). Wjeżdżać do niej mogą wjeżdżać tylko oznaczone specjalnymi naklejkami pojazdy spełniające dość restrykcyjne kryteria emisji spalin. Pomysł na wprowadzenie podobnego rozwiązania w Polsce miała Platforma Obywatelska, ale spotkała się to z wielkim oporem kierowców.

Do tego stale należy rozwijać drogi rowerowe, co też miasto z większym lub mniejszym skutkiem robi. Coraz więcej osób stawia na jazdę na rowerze, która nie dość, że jest zdrowa, to jest jeszcze niekiedy szybsza i nie produkuje żadnych spalin.

Źródło powyższego wykresu: Gazeta Wyborcza

S O N D A Czy czują się Państwo dobrze doinformowani w tematyce smogu? Jakoś Państwo przeciwdziałają temu zjawisku?

- Na pewno chciałabym być lepiej doinformowana. Zastanawiałam się, czy kupić maskę przeciwpyłową, ale właściwie nie wiadomo, które działają, a które nie. Staram się przeciwdziałać smogowi jeżdżąc komunikacją miejską.
- Spotkałem się ze smogiem pierwszy raz już w 1965 roku w Londynie. Tam wytworzony był jednak z innego powodu – głównie palenia w kotłach i piecach. Natomiast w Polsce sytuacja wygląda o wiele inaczej, bo jest spowodowana innym ciśnieniem uniemożliwiającym wydostawanie się tych pyłów w powietrze.
- Czuję się bardzo słabo poinformowany. Jestem zdecydowany kupić maskę przeciwpyłową.
- Czuję się nie do końca doinformowany. Ale myślę, że tego smogu już nie ma, zima się przecież kończy.

SPOŁECZNOŚĆ

Smog z indywidualnego ogrzewania

Smog wytwarzany jest w jeszcze większym stopniu przez indywidualne ogrzewanie – problemem nie są stołeczne elektrociepłownie, gdyż ich kominy wyposażone są w nowoczesne filtry. Ogrzanie domu drewnem, węglem, miałem, śmieciami, starymi meblami czy innymi surowcami jest tańsze od korzystania z gazu czy z energii wytwarzanej w elektrociepłowni, a przecież człowiek biedny nie będzie z powodów ekologicznych umierał z zimna. Ponadto do sieci elektrociepłowni nie są podłączone wszystkie budynki. Z tego udogodnienia korzystają głównie budynki nowe, czyli te wybudowane po 1945 r. Reszta, czyli aż 20%, a więc przede wszystkim stare kamienice czy prowizoryczne budynki (taki chociażby jak ten stojący przy odbiciu ul. Zawiszy od torów kolejowych w lewo), sama musi zadbać o ciepło. Takie budynki zlokalizowane są m.in.: na Pradze, Wawrze, Włochach czy Targówku.

Olbrzymi problem ze smogiem mają także miasta należące do aglomeracji warszawskiej np. Otwock i Legionowo.

Należy wprowadzić normy pieców i kominów oraz surowców palonych. Coraz lepsze skutki przynosi krakowska strategia walki z trującym dymem, gdzie zakazano palenia w przydomowych piecach węglem i drewnem. Do wymiany pieców miasto dopłaca 80% procent całej

kwoty. Od tego roku podobna inicjatywa pojawiła się w Warszawie, gdzie finansowane ma być ok. 50%. Na wsparcie mogą także liczyć mniej zamożne osoby używające gazu.

Wymieniony wcześniej Otwock może w tym kontekście zaskakiwać. Przecież miasto to położone jest tuż obok Mazowieckiego Parku Krajobrazowego. Uznane jest również za uzdrowsko. Rzeczywiście, zieleń pozytywnie wpływa na jakość powietrza, jest naturalnym „wrogiem” smogu, ale nie jest w stanie zwalczyć aż tylu zanieczyszczeń. Zwiększanie terenów zielonych powinno być jednak dla takich miast jak Warszawa jednym z ważniejszych celów. Świetnym pomysłem jest chociażby sadzenie drzew wzdłuż ulic. Skutki tragicznej „ustawy Szyszki” stanowią smutne tło do dyskusji o zwalczaniu smogu. W jej myśl, od początku tego roku drzewa znajdujące się na prywatnych posesjach nie podlegają ochronie. Spowodowało to rzeź drzew. Szacuje się, że aż pół miliona stołecznych drzew jest zagrożonych. Ciekawą inicjatywą byłby zakup nowoczesnej technologii zwalczającej smog za pomocą... mchu. Taką inwestycją zainteresował się Kraków.



Równie ważna jest zieleń miejska, nad którą często zlokalizowane są korytarze dla powietrza wydostającego się z miasta. Tworząc wysoką i gęstą zabudowę, zamykamy takie korytarze. Dlatego niezbędne jest rozsądne planowanie przestrzeni, a nie stawianie budynków gdzie popadnie, jak to u nas jest w zwyczaju. Problem ma z tym np. Kraków, który jest gęsto zabudowany i powietrze może uciec właściwie tylko Wisłą.

DOŁĄCZ DO NAS!

**CHCESZ SIĘ PODZIELIĆ SWOJĄ PASJĄ?
PISZ DO NAS NA ADRES:
REDAKCJAUDŁAWSIE@GMAIL.COM**

WSPÓŁTWÓRZ „UDŁAW SIĘ!” RAZEM Z NAMI!

Nie zapomnijmy o informowaniu

Powyżej przedstawione zostały konkretne działania, ale nie można też zapomnieć o informowaniu i uświadamianiu Polaków o niebezpieczeństwie wynikającym z zanieczyszczenia powietrza. Gdyby nie organizacja Miasto jest nasze czy Warszawski alarm smogowy, nikt u nas nie nazywałby smogu smogiem, a zwykłą mgłą, co udowadnia wypowiedź ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła w radiu TOK FM: „**Nie ma w tej chwili żadnego powodu do paniki [ze względu na smog – przyp. Autor]**. Nie sądzę, żeby bicie na alarm byłoby tutaj odpowiednią reakcją. Lubimy mówić o zagrożeniach troszkę bardziej teoretycznych, w sytuacji, kiedy styl życia, jaki przyjmujemy, jest wielokrotnie bardziej szkodliwy”. To dzięki też m.in. wymienionym wyżej organizacjom Warszawa rozpoczęła w końcu prace nad ustawą antysmogową, która ma wejść w życie jeszcze przed następnym sezonem grzewczym. Możliwe, że miasto zdecyduje się na zamieszczenie tablic z informującą o zanieczyszczeniu powietrza (można po prostu informować mieszkańców o tym na elektronicznych tablicach rozkładu jazdy), a ustawienie takich w kluczowych miejscach stolicy może zmienić myślenie warszawiaków na temat zagrożenia smogiem.

Jak się chronić przed smogiem?

W dni smogowe powinniśmy ograniczyć do minimum czas spędzany na zewnątrz. Oczywiście, bardzo rzadko uda nam się zostać w domu, więc rozważyć można zakup maski przeciwpyłowej. Cena takiej wynosi najczęściej ponad sto złotych plus wymieniane co pewien czas filtry w cenie około pięćdziesięciu złotych.

Dobrym rozwiązaniem dla wnętrza budynku, może być oczyszczacz powietrza. Cena takiego sprzętu uzależniona jest od powierzchni, na której chcemy go używać, i wynosi od 600 do 5000 zł. W pewnym stopniu wewnątrz pomogą też rośliny, np. bluszcz pospolity.

Musimy spojrzeć na sprawę smogu rozsądnie i obiektywnie – musimy wiedzieć, że dostawczy licencję na zabijanie od rządu, po ulicach miast chodzi legalny morderca. Ale nie jest to żaden przystojny James Bond czy klasowy Don Vito Corleone, a podstępny smog, którego karmimy odpadkami zrzucanymi ze stołu cywilizacji. I dopóki nie zaczniemy go kopać, ale nie pod stołem, a na oczach wszystkich, dopóty nie zniknie na zawsze.

„Słodziutcy Transwestyci”

Dominika Kurowska



„The Rocky Horror Show” miał premierę po raz pierwszy w Londynie w 1973. Na ekrany przeniesiony został dwa lata później przez Jima Sharmana. Stanowił pomieszanie stylistyki glam rocka z atmosferą horrorów typu B. Pełen wyuzdanych i swobodnych seksualnie bohaterów wzbudzał zarazem kontrowersje jak i fascynację. Choć określany był jako „niesmaczny, bezcelowy i bez fabuły” obecnie uznawany jest za ikonę nurtów kampu (za estetyczne uznaje się w tym stylu to, co w złym guście, przerysowane, kiczowate) i queer. Dorobił się kultu wyznawców, do których należą także artyści pracujący nad inscenizacją „Rocky Horror Bedna Show”.

„ROCKY HORROR BEDNA SHOW”

RECENZJA PRZEDSTAWIENIA

Właściwie od moich pierwszych dni jako Bednarki mogłam obserwować, jak Marta pracuje nad papierową wersją „Rocky Horror Picture Show”. Namawiała wszelkimi argumentami aktorów, tłumaczyła, szukała rąk do pomocy, rekrutowała. Przez tygodnie poprzedzające studniówkę, długo po zakończeniu zajęć słyszałam roznoszący się po korytarzu śpiew Weroniki Orłowskiej czy Kaliny Kibalskiej. Widziałam, jak wiele pracy zostało włożone w to, by musical się udał. Jestem przeciwniczką poglądu, że liczą się intencje, nastawiam się raczej na efekty. Więc czy rezultaty tych miesięcy ślęczenia nad tekstem, prób, malowania manekinów i nauki chodzenia na obcasach były zadowalające? „Rocky Horror Bedna Show” mógł być albo wielkim triumfem albo smutnym fiaskiem, chociaż wiadomo było, że będzie wydarzeniem legendarnym. Ku mej satysfakcji, legenda ta, stała się opowieścią o sukcesie.

„Rocky Horror Bedna Show” nie jest naturalnie produkcją pozbawioną skaz, ale właściwie jedyne wady przedstawienia wynikały z trudności technicznych. Głośność dźwięku nie granego przez nie była dobrze dostosowana do głosów aktorów, Dominik Mokrzewski nieraz także przesadzał ze swoją grą na perkusji i zagłuszał śpiewających. Zapewne brak wprawy śpiewania z mikroportami przyczynił się do tego, że zdarzały się momenty, gdy nie słychać było śpiewu - jak w numerze (skądinąd popisowym) „Dotknij”, gdy Marty Fidury, przechylonej przez ramię Piotra Smolika nie sposób było usłyszeć. Przerwy między numerami były czasem nieznośnie długie - z powodu zmiany dekoracji, w którą zaangażowani byli często wszyscy grający, a czego można by uniknąć na prawdziwej scenie (jednak wybaczymy przerwę przed sceną rewii - piękno, które po niej zaprezentowano w postaci czwórki aktorów i aktorek w gorsetach i obcasach wynagradza z nawiązką chwile oczekiwania). Te niedociągnięcia jednak nie pozwoliły na rozproszenie uwagi i odsunięcie jej od tego co wyprawiała obsada, a były to rzeczy genialne.

Na cześć tekstów Marty Fidury można by napisać oddzielny pean. Nie jest łatwo przetłumaczyć na tak trudny fleksyjnie język tak specyficzne w treści piosenki, zachować ich sens i jeszcze kiczowaty styl większości z nich. Trudno wybrać najlepsze tłumaczenie, może „Słodziutki Transwestyta” przez bardziej recytatorski charakter zabrzmiała gorzej, poza nią poziom był bardzo wysoki. „Sen śniłeś”, „Dotknij” czy „Science Fiction” brzmiały naprawdę znakomicie. Wykonania, niestety poza występem Eddiego, z powodu wspomnianych technicznych problemów, były wprost cudne, głównie za sprawą doskonale dobranej ekipy. Choć miałam wątpliwości wobec pomysłu, by Fidura - śmiała, swobodna i nowoczesna - sama zagrała Janet, postać wprost z klasycznego amerykańskiego snu, w którym na frywolność nie ma miejsca, okazał się on strzałem w dziesiątkę. Janet w wykonaniu wizjonerki nieśmiało chichocze, wdzięczy się, a różowy kostium pasuje do niej tak samo dobrze jak ciemny gorset. Podobnie wybór Krzysztofa Kostrzewy na rolę Brada - flegmatyczny młodzieniec znakomicie odnajduje się w roli jeszcze nudniejszego bohatera i tak jak Brad odkrywa piękno jakie może oferować tajemniczy zamek, tak Kostrzewa mógł pokazać, co w ofercie aktorskiej ma on: czy to w niezręcznej piosence do Janet czy w przezabawnie dostarczonej scenie w pojedynczej sypialni. Jaga Kądziała wraz z Barbarą Matusiak jako Columbia i Magenta stanowią świetnie zgrany duet, zarówno wokalnie jak i dzięki grze. Obie przyćmiewają momentami (idealnie radzącego sobie z brakiem wybitnych zdolności do śpiewu) Kajetana Wójcika w roli Riff Raffa.



Popisowym numerem spektaklu okazało się "Science Fiction" zaśpiewane mocno, pięknie i z werwą przez inną świetną parę - Weronikę Orłowską i Kalinę Kibalską. Piosenka w ich wykonaniu jako wstęp do występu jest intrygująca i hipnotyzująca, jej powtórzenie na koniec świetnie wyprowadza widza ze świata "Rocky Horror...". Niestety Eryk Mikusek Le(Eddie) nie podołał wyzwaniu i "Słodka Pucia"(skądinąd bardzo zgrabnie zaadaptowana na polski) jest najslabiej zaśpiewanym numerem. Obecne przez większość scen upiorki, nie tylko tańczą z gracją(choreografia jest jednym z najmocniejszych aspektów spektaklu), ale dostarczają odpowiedniego, bardzo dobrego chórowego tła muzycznego(jak podczas "Misia Eddiego" - choreografia ich i reszty obsady, jak wykonanie sprawiają, że ta raczej zapomniana zwykle piosenka zostaje zapamiętana na długo). Wykorzystanie ich do "Science Fiction" jest ciekawym sposobem na wciągnięcie widowni w przedstawienie, a następujący zaraz potem ślub zyskał nową jakość z nimi jako weselnikami, panem młodym oraz piękną panną młodą(w tej roli upiorki - Ignacy Stadnicki). Nie można

mówić o "Rocky Horror Picture Show" i nie powiedzieć o postaciach do których to dzieło zawsze powinno należeć: Frankfurtera oraz Rockiego. Piotr Smolik, jako piękna istota jest niczym rzeczywisty Rocky i właściwie nie ma co grać- wystarczy że jest trochę mniej gadatliwą wersją siebie. Odebranie mu piosenki może nie pozwoliło mu na większą ekspresję na scenie, ale nowy charakter bohatera nie burzy nic w spektaklu. Pozostawiam najlepsze na koniec. Jan Kołodziejczyk, w gorsecie i makijażu, w drżących szpilkach. Manieryczny, kempowy do bólu. Ach, jakież piękny, jak cudny, a jaki kiczowaty i tani. Kołodziejczyk nie stara się doścignąć oryginału, nie chce także być czymś nowym i rewolucyjnym, jego Frankfurter zawsze jest szalenie zachwycony sobą(i słusznie), flirtuje z każdym w łobuzerskim stylu lecz unosi się dumą i tupie nóżką jak prawdziwa kokietka. Te wszystkie postacie nie miałyby tyle osobistego uroku i nie oddawałyby atmosfery oryginału tak dobre gdyby nie ich widowiskowość. Kostiumy i dobrany doń makijaż to majstersztyk. Columbii w różowych szortach i na wrotkach nie brakuje ducha tej

w złotym cylindrze i stepującej. Upiorki biegające w garniturkach i trampkach zachwycają różnorodnością makijaży. Do tego Janek Kołodziejczyk oraz Barbara Matusiak, ze strojami i twarzami wymalowanymi na modłę filmu bardzo pasują i nie ma tu żadnego dysonansu. Scenografia spektaklu jest dość rozbudowana, co niestety powodowało przydługie zmiany w dekoracjach, ale obecność na scenie manekinów - transwestytów sprawiła, że patrzeć na nią było zajmujące. Czy można by to zrobić lepiej? Oczywiście, nikt i nic nie jest idealne. Lecz to, jak tak kultowa produkcja, wobec której nie sposób przejść obojętnie - chociażby, ponieważ jest to fenomen kulturowy - została przeniesiona przez moje koleżanki i kolegów przeniesiona na maleńką, drżącą pod stopami scenę jest, by nie rozdrabniać się, fenomenalne. Usiadłam podczas studniówkowego wieczoru na szkolnym krzeselku, w kiczowato udekorowanej sali gimnastycznej nie wiedząc czego się spodziewać. Chwilę później pociągnięto za dźwignię sonicznego transducera i zastygłam w zachwycie na dwie godziny kampu, pończoch i brokatu.



„Snem stać się” Wywiad z twórcami „RHBS”

Nie ma wątpliwości, że “Rocky Horror Bedna Show” będzie długo pamiętany przez Bednarczyków i Bednarki. Warto pamiętać więc o kobietach stojących za tym projektem i wiedzieć nieco o ich pracy. W tym celu rozmawiałam z mistrzowską reżyserką i aktorką Martą Fidurą i błyskotliwą reżyserką Dominiką Siedlecką.

Kiedy w ogóle pojawił się w twojej głowie ten pomysł, jak to się wszystko zaczęło?

Marta Fidura: wydaje mi się że to się zaczęło w 2015 roku w okolicach Halloween albo Andrzejk 2015 roku. Przyszła do mnie grupa znajomych i postanowiliśmy obejrzeć “Rocky Horror Picture Show”. Wielu z nas znało już ten musical i gdy potem rozmawialiśmy o obsadzie okazało się że wiele osób od nas ze szkoły naturalnie pasowałoby do jego bohaterów. Z czasem doszło do kilku zmian, z korzyścią dla przedstawienia.

A jak się czujesz z tym, że w dwa tysiące szesnastym zrobiono telewizyjny remake “Rock Horror”?

MF: Nie wpłynęło to w ogóle na moje decyzje reżyserskie. Widziałam fragmenty i zwiastuny i nie podobało mi się to, co widzę. Poza tym inaczej robi się spektakl w bardzo kameralnych warunkach szkoły, a zupełnie inaczej, gdy za produkcję odpowiedzialna jest telewizja ze sporym możliwościami finansowymi. Zresztą ich wyszło kiczowato, a niestety nie kampowo. W szkole nawet jak się nie chce to kampowo wychodzi. I to jest dobre i pasuje do konwencji.

A jak się zaczęła ta współpraca reżysersko - producencka? Czy była bardziej partnerska czy konsultancka?

MF: Pracowaliśmy już wcześniej nad reinterpretacją Masłowskiej “Między nami dobrze jest”. Widziałam też jukebox musical jaki Dominika wcześniej przygotowywała. Dominika była tu na większości prób, przychodziła nawet ze swoją córeczką Celiną, poświęcała na nas mnóstwo czasu, dała nam wiele wskazówek, bez których, wiem że nie byłabym w stanie sobie poradzić, ponieważ wcześniej nie robiłam niczego na tak dużą skalę.

Dominika Siedlecka: To były dwa elementy. Partnerstwo na pewno, bo nie przychodziłem z nastawieniem że wiem jak to zrobić, a oni tego nie wiedzą, tylko wszyscy rzucaliśmy pomysłami i wybieraliśmy ten który był najsensowniejszy, w tym sensie partnerstwo tam było. Ale nie byłam obecna od początku całego procesu. Pomysł narodził się kiedy byłam na urlopie macierzyńskim. Dołączyłam, gdy cała obsada była dobrana, scenariusz gotowy, bardziej więc pomagałam w budowaniu spektaklu. Marta była na wszystkich próbach, a ja nie zawsze, z powodu spraw rodzinnych bardziej pełniłam funkcję konsultantki.

Czy twoi koledzy i koleżanki z obsady wiedzieli z czym mają do czynienia? Zdawali sobie sprawę z tego jak możesz wyobrażać sobie tę sztukę?

MF: Część tak, część nie, dlatego każdego goniłam, by obejrzeli film, nie ważne nad czym pracowali - czy to byli muzycy czy tancerze. Zależało mi na tym, by mieli pełny obraz tego co robimy. Chociaż Dominika zawsze mówiła nam, żebyśmy nie skupiali się na filmie tak bardzo i postarali się o własne podejście. Konwencja szkolna nadaje inny, wcale nie gorszy wymiar.

DS: Po prostu odgrywanie jest interpretacją, a interpretacja jest zawsze nowym dziełem więc siłą rzeczy trzeba się trochę uwolnić od pierwowzoru. Dzięki temu podejściu, udało nam się stworzyć trochę inną jakość.

Czy nie było problemów z przekonywaniem do przywdziewania tych pięknych czerwonych gorsetów?

MF: Właśnie nie, wkładanie gorsetów było najmniejszym problemem. Kiedy wkładali gorsety i szpilki to stawali się dziesięć razy bardziej pewni siebie. Raczej zdarzały się takie sytuacje, jak ta, gdy Janek Kołodziejczyk stwierdził, że on nie będzie ćwiczył bez obcasów, bo nie może wczuć się bez nich w postać. Stał się trochę diwą tego spektaklu.

Rozumiem, że to był projekt marzeń. Zrealizowałaś go na studniówce, czy podczas tych przygotowań planowałaś występ na FLAKu?

MF: Nie, nie było takiego planu. Ale teraz chcielibyśmy to wystawiać, jak i gdzie tylko możemy. Chociaż matura przeszkadza. Mieliśmy jeszcze, na przykład propozycję z festiwalu SOFA.

Planujesz coś jeszcze tworzyć z tą ekipą?

MF: Po maturze część obsady planuje rozjechać się do różnych miast czy krajów, więc raczej nie damy rady.

Jaka jest praca z młodą i niedoświadczoną obsadą, nieuczoną (w większości) aktorstwa?

DS: Mam porównanie, pracowałam z zawodowymi aktorami. To znaczy, teoretycznie mam bo sądzę że nie ma jak tego porównywać. Dużym plusem tej ekipy było to że jej większość była bardzo zaangażowana i bardzo jej się chciało. Widać było że stanowią całość, zespół. Nawet jeśli ktoś nie przyszedł na próbę, albo musiał wyjść wcześniej, to pod koniec widać było, że stanowią spójną grupę. Zawodowcy to więksi indywidualiści. Ale wiadomo że w kwestii dykcji, odtwarzania historii, mimiki, jest bardzo dużo do zrobienia i myślę, że ten spektakl powinniśmy ćwiczyć tak półtora roku by osiągnął naprawdę profesjonalną jakość. Mnie dużo lepiej się pracuje z taką grupą, niż z zawodowcami. Nie ma rywalizacji czy starania się o prywatny sukces, a jest powiew świeżości i młodości.

To przedstawienie było czymś raczej ważnym, przygotowania nie obyły się bez echa.

MF: Nie jestem pewna, czy rzeczywiście były wobec niego wielkie oczekiwania. Nie odczuwałam wielkiego zainteresowania tym spektaklem. Myślę że raczej zakładano że będzie to kolejne przedstawienie studniówkowe, i były narzekania na jego długość, a przecież after czeka. Tym bardziej cieszy mnie, że tyle osób go zobaczyło i że im się podobało.

Wyobrażasz sobie robienie czegoś takiego z innymi ludźmi, może w publicznej szkole?

MF: Nie wiem, nie umiem ocenić publicznej szkoły. To dzieło opiera się przeważnie na pewnych osobach pasujących do konkretnych ról. Przy czym tylko teoretycznie nie musieli grać, bo chyba jednak więcej zdolności i dystansu wymaga zagranie takiej parodii siebie. Nie wiem, czy z innymi osobami z tej szkoły nawet byłabym w stanie zrobić ten spektakl. To są bardzo wyraziści ludzie, gdybym miała zastąpić któregoś z nich kimś kogo nie znam, to byłoby zdecydowanie trudniej.

-Usłyszałam od redakcji że jest to odważna seksualna sztuka. Nie miałyście oporów w związku z wystawieniem tego na studniówce?

DS: Z jednej strony żyjemy w świecie, w którym jesteśmy otoczeni seksualnością i byłoby obłądą jej unikanie, zwłaszcza, że zespół i widzowie to niemal dorośli ludzie, którzy na co dzień stykają się z epatowaniem seksualnością. A dwa, myślę sobie, że ta sztuka jest w sumie o dojrzwaniu i skoro traktujemy studniówkę jako moment przejścia do kolejnego etapu, to moment na tego typu sztukę, z takim podtekstem był idealny.

MF: Nie wydaje mi się, że ta sztuka wykracza poza granice dobrego smaku. Po pierwsze kamp rządzi się swoimi prawami, po drugie cała ta instytucja studniówki jest trochę wyuzdana. Chociażby ten kult czerwonych podwiązek - z jednej strony bardzo seksualn, a z drugiej bardzo dziwny gdy spojrzeć na zdjęcia dziewczyn w pięknych skuniach niezręcznie pokazujące te czerwone podwiązki. Wydaje mi się że ta sztuka była taką czerwoną podwiązką tej studniówki, tylko założoną z większym dystansem i samoświadomością.

Rozmawiała Nikki Kurowska



„Sekrety Blasku”

Wywiad z aktorami „RHBS”

“Rocky Horror Bedna Show” było nie tylko wynikiem bardzo ciężkiej pracy autorki projektu, ale dzieckiem starań wszystkich z obsady. Zafascynowana znakomitą odtworzeniem roli Franka Frankfurtera przez Jana Kołodziejczyka, oraz znakomitą jego współpracą z Krzysztofem Kostrzewą, przeprowadziłam z nimi rozmowę, na temat słynnego przedstawienia.

Zagraliście w przedstawieniu wystawianym na scenach całego świata od ponad czterdziestu lat. Bardzo trudnym, przez niektórych uważanym za kultowe.

Krzysztof Kostrzewa: Z jednej strony to był zaszczyt że w niewielkim stopniu mogliśmy dołączyć do historii tego dzieła, z drugiej kawał dobrej zabawy.

Jan “Kołoda” Kołodziejczyk: Na pewno niesamowite przeżycie, łączące ludzi. Przygotowywanie się do takiego spektaklu zawsze tworzy niesamowity klimat, dosyć intymny. I nie jest to związane z brakiem ubrania na aktorach, bo na próbach byliśmy raczej ubrani. Ale te dodatkowe warstwy nie przeszkadzały nam w bliskości i kontakcie z sobą.

Jak to się stało, że to wy dostaliście te role? Znaliście filmowe pierwowzory swoich postaci?

KK: Właściwie dobór był idealny... Marta powiedziała że chce żebym zagrał nudziarza. Tylko potem się okazało że jeszcze muszę śpiewać, po tym jak już obejrzałem film.

JKK: Ale okazało się że Brad - to znaczy Krzysztof - jest bardzo elastyczny. W moim przypadku rekrutacja była podobna: wielkim skrócie Marta zapytała mnie czy chcę zagrać transwestytę, a ja powiedziałem: jasne!

Cóż, to nie jest tak, że byłeś bezapelacyjnie najlepszym wyborem, rola była zaproponowana Pawłowi Bobrowskiemu.

JKK: Tak, z powodów oczywistych, ale zdarzyło się inaczej. Miałem już pewne doświadczenie aktorskie, ale nie ze śpiewem, a okazało się nagle że muszę śpiewać i to było pewne zaskoczenie. Marta ciężko ze mną trenowała, nie wiedziałem jaki będzie efekt. A tutaj jednak okazało się, że że mnóstwo osób po spektaklu gratulowało mi i pytało czy sobie wyobrażam inną przyszłość niż szkołę teatralną.

Właśnie, jak sobie wyobrażasz, obaj jak sobie wyobrażacie ewentualny przyszły związek z teatrem?

JKK: Cieszy mnie gra amatorska, profesjonalistą raczej nie zostanę, ale przecież zdarza się, że ktoś gra w teatrze amatorskim i dostaje szansę w czymś poważniejszym. A dla mnie to jest jedno z najlepszych uczuć w życiu, to stanie w błysku światła na scenie.

KK: Dla mnie to będzie zawsze ciekawe i zwyczajnie fajne zagrać, ale aktorem nie jestem.

Jak wam się działało z ekipą? Chyba duże znaczenie miało to, że pracowaliście z ludźmi których dobrze znaliście, czyż nie?

JKK: Ze wszystkimi się blisko znaliśmy, nie było potrzeby przekonywania się do innych ludzi, nie było obco.

KK: A jednocześnie, zbliżyliśmy się w specjalny sposób do siebie nawzajem. Naprawdę, ze wszystkimi bardzo dobrze się pracowało.

JKK: Tak, wpatrywanie się sobie w oczy przez pięć minut, na klęczkach, za parawanem, gdy po drugiej jego stronie obywatel numer muzyczny poprzedzony nedorzeczną kwestią Piotra Smolika może zbliżyć jak nic innego.

Żadnych oporów przed włożeniem gorsetów, przechadzania się w szpilkach?

JKK: Nie, zupełnie nie. Przełamać się musieliśmy raczej przed śpiewem. Ja właściwie prowadziłem taką melorecytację.

KK: Byłem ciekaw, jak zareagują moi znajomi, chociaż na ich wsparcie mogłem liczyć od samego początku. Dużo bardziej interesowała mnie reakcja ludzi nie związanych z trupą na chociażby Rewię.

Tak, myślę że takie przedstawienie, nie przeszłoby w innej szkole.

KK: najprawdopodobniej nie dostalibyśmy żadnego wsparcia albo byłoby ono bardzo małe. Teraz po przygodzie z Cervantesem myślę, że tak by było. Są ograniczenia tam, w publicznych szkołach, których tutaj nie ma. Wszechobecna tolerancja ułatwia wiele.

JKK: Chociaż jedno to ograniczenia światopoglądowe, a drugie ograniczenia finansowe. Szkoła nie tylko poparła pomysł wystawienia tej sztuki, ale też wyłożyła na nią niemalą kapitał.

KK: Pozdrawiamy panią Wandę, dziękujemy za wsparcie!

Jak wpłynęło na was to doświadczenie, jak czuliście się robiąc coś takiego w ostatniej klasie liceum, gdy żegnacie pewien etap w życiu?

JKK: Powiem tak: dwa tygodnie w plecy. Nie, żartuję, czas pracy nad tą produkcją, spędziliśmy twórczo i inspirująco. Te prawdziwe porządne próby, trwały może trzy tygodnie. Poza tym to funkcjonowaliśmy na zasadzie "spotkajmy się na dwadzieścia minut i pośpiewajmy". Naprawdę w ostatniej chwili zaczęliśmy ćwiczyć. Zaczynaliśmy często o 16, kończyliśmy o 21. Wyczerpujące doświadczenie, ale było warto.

KK: Myślę, że gdyby nie "Rocky Horror" moglibyśmy spanikować i poświęcić cały swój wolny czas na przykład na naukę matematyki. Być może jeszcze wystąpimy pod przewodnictwem Marty, ale już po maturze. Europa, Stany, wiele scen na nas czeka.

Ach, matura. Nie stanowiło problemu to, że występujecie właśnie w tym czasie? Nie kolidowało to z zajęciami pozaszkolnymi czy zwykłą nauką do egzaminów?

KK: Ja twierdzę, że w roku maturalnym powinno się zajmować wszystkim tylko nie nauką do matury. Inni piją na imprezach, a my ćwiczyliśmy do "Rocky Horror". I chyba to w takim czasie nie przeszkadza, a pozwala na chwilę luzu.

Ale słyszałam, że Marta była dosyć brutalna podczas prób.

JKK<chichocze>: Dominice Siedleckiej trzeba podziękować za utrzymanie Marty Fidury zdrowia psychicznego.

KK: I naszego fizycznego. Było wiele pomysłów z których zrezygnowaliśmy, ale nie wiadomo co by się działo, gdyby zrobić spektakl w jego pierwotnej wersji. Scena siódma na przykład, była bogata w dziwne erotyczne tańce.

Będziecie tęsknić za tymi pokazami?

JKK: To jest przedstawienie, które zostaje z człowiekiem przez całe życie. Zostaje zarówno w głowie jak i w sercu. Ze względu na swoją formę i oryginalność, nietuzinkowość zostaje w głowie, a przez atmosferę, bliskość między nami i okoliczności wystawienia pozostaje na zawsze w sercu.

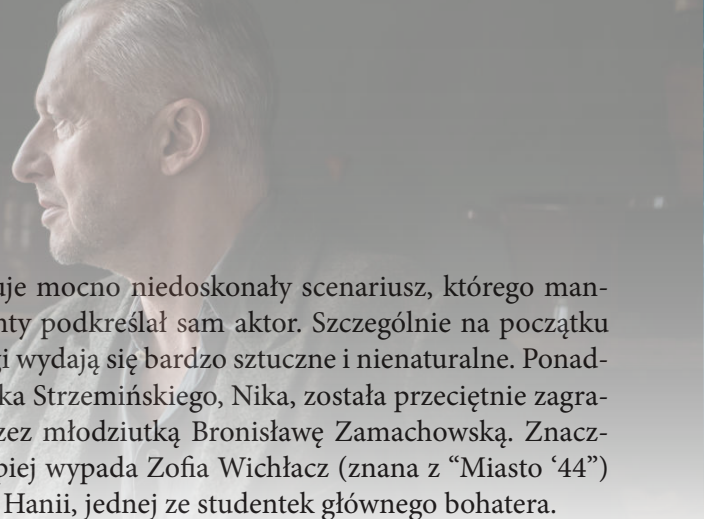
KK: Tak, zdecydowanie będziemy tęsknić. Może to próżne, ale myślę, że za pięć i dziesięć lat, gdy bednarzczy i bednarki spojrzą wstecz na tę studniówkę, nie będą pamiętali poloneza, walca, ale będą pamiętać "Rocky Horror".

Rozmawiała Nikki Kurowska

KINO „Powidoki”

Tragedia grecka w wydaniu polskim

Franciszek Porayski-Pomsta



Idąc na seans „Powidoków”, można mieć wrażenie, że robi się to raczej z sentymentu do Andrzeja Wajdy niż z własnej chęci. W końcu to jego ostatni, pośmiertny film, a dzieła wielokrotnie nagradzanego reżysera o tak znanym nazwisku, nie mają prawa być pominięte przez miłośników kina.

„Powidoki” opowiadają historię dwóch ostatnich lat życia malarza profesora Władysława Strzemińskiego, który za swoją niezłomność, zapłacił samotnością, niezrozumieniem i ostracyzmem otoczenia. Mimo uwielbienia, jakim obdarzali go studenci, w 1950 roku Strzemiński został odsunięty od wykładania w Państwowej Wyższej Szkole Nauk Plastycznych w Łodzi, w odwecie za sprzeciwianie się doktrynie socrealizmu. Opowiedziany przez film, powolny upadek bohatera, oglądamy na tle groteskowej i przerażającej, doskonale oddanej, rzeczywistości Polski Ludowej lat 50.

Na pochwały zasługuje świetna kreacja Bogusława Lindy w roli mocno doświadczonego przez los profesora. To postać złożona: trudny charakter uwięziony w kalekim ciele, dodatkowo funkcjonujący w stanie permanentnej wojny z systemem. Dobra gra Lindy nieco

maskuje mocno niedoskonały scenariusz, którego mankamenty podkreślał sam aktor. Szczególnie na początku dialogi wydają się bardzo sztuczne i nienaturalne. Ponadto córka Strzemińskiego, Nika, została przeciętnie zagrana przez młodzieńką Bronisławę Zamachowską. Znacznie lepiej wypada Zofia Wichłacz (znana z „Miasto ‘44”) w roli Hanii, jednej ze studentek głównego bohatera.

W „Powidokach” podobają się także zdjęcia, za które odpowiedzialny był wielokrotnie nagradzany Paweł Edelman, z którym Wajda współpracował od wielu lat („Katyn”, „Tatarak”, „Pan Tadeusz”). Ogromne wrażenie robią zwłaszcza sceny uliczne - w obrazie Łodzi z lat 50., mimo jej brudu i chaotyczności, bardzo łatwo się zakochać. Do tego w tle piękna muzyka Andrzeja Panufnika, polskiego kompozytora działającego równoległe do Strzemińskiego.

„Powidoki” nie są dziełem wielowymiarowym, niezwykle głębokim interpretacyjnie. Ale zmuszają do myślenia. A na budujące główną oś obrazu pytanie: być wiernym sobie, czy żyć bezproblemowo tak naprawdę nie udzielają odpowiedzi. I bardzo dobrze. To już zadanie widza.

„Sztuka kochania. Historia Michaliny Wisłockiej.”

Ola Kozakiewicz



Michalina Wisłocka to polska lekarka, ginekolog, cytolog i seksuolog, która w latach 70. walczyła o edukację w zakresie seksualności dla Polek i Polaków. Film opowiada o drodze, którą musiała przejść by doszło do wydania jej książki – „Sztuka kochania”. Książki, która wywołała seksualną rewolucję. Wykazując się ogromną determinacją, jej autorka poświęciła lata na walkę z cenzurą i przełamywanie konserwatywnego myślenia o tematach związanych z seksem.

Film zbudowany jest na równoległym opisie zmagania Wisłockiej seksuologa z i pisarki oraz Wisłockiej, kobiety, partnerki, kochanki. Ten zabieg dodaje dynamiki jednocześnie pozwalając lepiej zrozumieć historię powstania książki. Na ekranie ujrzymy romans bohaterki z żonatym mężczyzną, czy historię jej małżeństwa, które z czasem przerodziło się w miłosny trójkąt.

Film doskonale oddaje ducha czasów, o których opowiada. Czuć go w dialogach, świetnej scenografii i kostiumach, ale też w wiernym odwzorowaniu licznych absurdów PRL. Wyraźnie pokazany jest sposób funkcjo-

nowania władzy w ówczesnej Polsce. Władzy, którą w największej mierze sprawują i reprezentują mężczyźni, co z kolei było przyczyną największych trudności w osiągnięciu sukcesu przez Michalinę Wisłocką.

Na osobną pochwałę zasługuje Magdalena Boczarska, doskonale, niezwykle autentycznie interpretująca postać głównej bohaterki. Boczarska jest wiarygodna, gdy walczy o swoją pracę, kocha, gdy z wiekiem pozwala sobie na coraz więcej ekscentryzmu. Tworzy postać niezwykle charyzmatyczną, bystrą, która intryguje przez cały czas trwania akcji filmu.

„Sztuka kochania” to nie tylko historia Wisłockiej i jej słynnej książki, która na zawsze zmieniła podejście Polaków do seksu. To przede wszystkim pochwała wiedzy, nauki, niezłomności i konsekwencji. A wierne odwzorowanie politycznych, społecznych, czy obyczajowych realiów PRL, dla pokolenia znającego PRL wyłącznie z książek, jest dodatkową ogromną zachętą do zapoznania się z tym filmem.

Piękna i Bestia

Olimpia Delgado Górecka

Ostatnio oglądałam film w reżyserii Billa Condon z scenariuszem Stephena Chbosky'ego i Eva Spiliotopoulosa. Jest to ekranizacja pięknej animowanej historii sprzed lat. W rolach głównych wystąpili między innymi: Emma Watson, Dan Stevens, Ewan McGregor, Stanley Tucci.

Fabula wszystkim znana- Bella przeprowadza się do zamku potwora, żeby ratować swojego ojca. Bohaterka piękna, rozmarzona, dbająca o ojca, jednak zmuszona walczyć z nachalnymi zalotami Gastona. Jej ojciec- troszkę szalony wynalazca wyrusza w podróż, jednak zostaje uwięziony. Zaniepokojona córka zaczyna go szukać. Gdy dociera do zamku bez chwili namysłu proponuje Bestii wymianę...

Twórcy filmu odwzorowali historię, którą wszyscy znają z należytą konsekwencją i szacunkiem. Większa część filmu to odwzorowane sceny z bajki. Jednak kilka aspektów uległo zmianie. Przede wszystkim pojawia wątek przeszłości rodziny Belli. Bajka nie skupiała się zupełnie na jej matce. W filmie jest to opisane co wzbudza w widzu niemałe wzruszenie. Nie sposób zapomnieć o kontrowersyjnym wątku homoseksualnym. Jest on zaskakujący, jednak nie dominuje i nie razi odbiorcy. Gra aktor-

ska jak najbardziej zasługuje na pochwały. Emma Watson pasuje do roli słodkiej, delikatnej i uczuciowej dziewczyny. Uważam jednak, że przyćmiewa ją Luke Evans grający przystojnego i pewnego siebie Gastona. Widać, że aktor był w swoim żywiole i wczuł się fantastycznie w rolę. Jego aroganckie spojrzenie powala nawet kobiety przed ekranem. Dan Stevens również doskonale odegrał rolę. Trzeba tutaj wspomnieć o dobrej pracy jaką wykonali specjaliści od efektów. Bestia budziła grozę tak jak powinna. Na uwagę zasługują

również postacie drugoplanowe kryjące się za zaklętymi przedmiotami albo rzeczami. Wprowadzają elementy humorystyczne, zaskakujące i budzą ogromną sympatię. Scenografia w filmie powala. Jest szczegółowa, przepełniona kolorami. Przy czym człowiek nie ma wrażenia kiczu, a wręcz przeciwnie- łącznie ze strojami wszystko tworzy tajemniczy i niesamowity klimat.

Podsumowując film jest godny polecenia. Piękna animowana historia opowiedziana została jeszcze raz w piękny filmowy sposób.

Koniecznieszprawy te seriale!



Kwiecień rozpoczął się powrotem serialu „The Get Down” produkcji Netflix. Jest to historia o narodzinach Hip-Hopu na przedmieściach Bronxu. Uzdolniony pisarsko Zeke Figuero zakłada z przyjaciółmi ze szkoły oraz z DJ'em Shaolinem Fantastic grupę The Get Down Brothers. Historia wciąga, potrafi nawet wzruszyć oraz świetnie przedstawia realia tamtych lat. Serial zrealizowany jest z wielkim rozmachem, o czym świadczy gigantyczny budżet. Szczególnie należy pochwalić monetrzystów, którzy perfekcyjnie połączyli Hip-Hop z muzyką popową.

Niedawno zadebiutował trzeci sezon Better Call Saul. Już przy pierwszych odcinkach twórcy udowodnili nam, że nie jest to tylko odcinanie kuponów od rewelacyjnego Breaking Bad. Opowieść o prawniku Saulu Goodmanie można śledzić nawet bez znajomości historii Waltera White'a. Trzecia seria podwyższyła znacznie poprzeczkę. Narracja jest jeszcze oszczędniejsza, co wyróżnia ten serial na tle innych, zdecydowanie szybszych, seriali.



Od dłuższego czasu w ofercie HBO dostępny jest serial twórcy „Peaky Blinders” - „Tabu”. Z długiego pobytu w Afryce, do Londynu powraca James Delaney. Z natury dziki i tajemniczy mężczyzna. Pracuje nad odbudowaniem imperium handlowego swojego ojca stając się z miejsca nie wygodny dla zdobywającej coraz większe wpływy Brytyjskiej Kompanii Wschodnio-indyjskiej. Serial kupuje całkowicie dzięki doskonałemu odwzorowaniu XIX-wiecznej Anglii. Krajobraz jest brudny, mroczny oraz brutalny a Tom Hardy w głównej roli tylko potęguje ten klimat. Są to atuty, którymi niestety nie może się pochwalić nasz rodzimy „Belle Epoque”. Ciężko uwieżyć, że w trochę późniejszym okresie w Polsce wszystko było takie nieskazitelnie czyste. Jeśli więc wiązaliście jakieś nadzieje z produkcją TVN'u, to koniecznie obejrzyjcie „Tabu”.

Michał Bisiorek

Greg Graffin – Millport

Maciej Mroczek

Wokalista założonego w 1979 roku Bad Religion już po raz trzeci odchodzi od hardcore/punkowego stylu, z którym kojarzony jest kalifornijski zespół ze słynnym przekreślonym krzyżem w logo. Na dwóch pierwszych solowych albumach Graffina, zwłaszcza doskonałym „American Lesion” z 1997 roku, dominowała mieszanka akustyczno-folkowych piosenek, często zaaranżowanych na głos i jeden instrument, najczęściej gitarę lub fortepian.

Wydany w marcu tego roku, „Millport” to zdecydowany zwrot artysty w kierunku country, w porównaniu z dotychczasowymi dokonaniem, rzadziej akustycznego i zdecydowanie bogatszego instrumentalnie.

Amerykańskie punki kochają country już od końcówki lat 90., czego najlepszym przykładem z wielu są chociażby solowe płyty muzyków znanych z Against Me!, The Gaslight Anthem, No Use For a Name, czy doskonałe wydawnictwa Chucka Ragana, wokalisty Hot Water Music. Ten ostatni przyznał przed laty w wywiadzie, że nazywany „amerykańską” tradycyjny amerykański folk i country, wykonywany przed laty przez m.in. Woody’ego Guthrie czy Dylana, niesie dokładnie taki sam ładunek buntu, frustracji, sprzeciwu wobec biedy, wojen, bezsensownej konsumpcji i niesprawiedliwości, jakim są nasycone piosenki najbardziej radykalnych punkowych zespołów. Choć akurat Greg Graffin wyraźnie redukuje liczbę piosenek

stricte politycznych, gdy występuje solo, a nie z macierzystym zespołem. Taki jest chociażby „Lincoln funeral’s train”, który opowiada o pogrzebie Wielkiego Wyzwoliciela. Ale większość to utwory sentymentalno – romantyczne, czasem z podtekstem kryminalnym, czasem bliżej tematyki hobo/włóczęgów.

Z płytą warto się zapoznać, podobnie jak z innymi przejawami kreatywności Grega Graffina, który oprócz tworzenia przeważnie doskonałych płyt Bad Religion, jest także doktorem nauk przyrodniczych, wykłada biologię na Uniwersytecie Cornell oraz regularnie publikuje książki, głównie dotyczące historii ewolucji, paleontologii oraz ateizmu.

Gorillaz w Polsce

Michał Bisiorek

14 czerwca 2017 roku pozostanie dla mnie datą niezwykle ważną. To właśnie wtedy kapela odwiedziła Polskę po raz pierwszy, by promować swoje najnowsze wydawnictwo, „Humanz”. Sztuką jest opisanie emocji, którymi emanowała publiczność w progach Nowego Teatru. Gdy muzycy znaleźli się na scenie, musiałem wziąć kilka głębokich wdechów. W końcu spełniło się moje marzenie, o którym śniłem od wielu lat!

Koncert otworzyło „I Swicked My Robot Off/Ascension”, co było mocnym i energicznym rozpoczęciem spotkania. Zespół zagrał cały album „Humanz” z wyjątkiem piosenki „Hallelujah Money”. Gości podczas występu była raczej garstka (nie-

obecni wyświetlani byli na telebimie). W końcu ciężko jest sprowadzić tak dużą grupę artystów, nie wspominając, że mogą mieć swoje trasy koncertowe.

Kawałki, które szczególnie zapadły mi w pamięci to „Momentz” oraz „Sex Murder Party”. W obu piosenkach na scenie pojawili się wszyscy goście, co tylko podkreśliło atmosferę. Warto jeszcze wspomnieć „Charger”, który miał w sobie najwięcej wigoru, był po prostu elektryzujący! Część utworów miała trochę inną aranżację, co dodało im unikalności.

Nie miałym zaskoczeniem okazały się bisy, podczas których zagrano niedawno opublikowaną piosenkę

„Sleeping Powder”. Znalazło się i miejsce dla znanych już przebojów. Gorillaz zagrał genialne „Stylo”, gdzie Bobby’ego Womacka zastąpił Peven Everett. Później usłyszeliśmy „Kids With Guns” a koncert zakończył się piosenką „Clint Eestwood”. Był to o tyle magiczny występ, że Damon zaprosił na scenę fankę z publiczności by zastąpiła rapera Terena Delvona Jonesa.

Koncert był absolutnie fantastyczny. Szczególnie należy pochwalić świetny kontakt z publicznością oraz wyświetlane animacje, które zbudowały odpowiedni klimat. Wciąż nie mogę otrząsnąć się z występu pełnego wrażeń i nie mogę się doczekać na kolejny koncert Gorillaz.

Ms. Marvel – Niezwykła

Michał Bisiorek

Poznajcie Kamalę Khan!

Kamala Khan jest zwykłą nastolatką mającą wiele zainteresowań, głównie skupionych na geekowskich (komputery i okolice) tematach. W szkole nie cieszy się wielką popularnością, a jej inność często staje się obiektem drwin wśród innych uczniów liceum. Jednak w jej kręgu znajomych znajdują się i prawdziwi przyjaciele, wśród których są podkochujący się w niej skrycie Bruno, czy Nadia, z którą bohaterka wspólnie uczęszcza do pobliskiego meczetu.

Pewnej nocy, kiedy Kamala wymyka się z domu na imprezę, w mieście pojawia się tajemniczy dym. Otoczona nim dziewczyna otrzymuje niezwykle zdolności, o których zawsze marzyła. Pomimo tego, że posiada pokaźny wachlarz supermocy, to droga do zostania bohaterką na miarę Avengers nie jest łatwa. O tym opowiada komiks Ms Marvel, autorstwa G. Willow Wilson oraz Adriana Alphona.

Ms Marvel to współczesna wersja Spider-Mana?

Pierwszy album o tytule Niezwykła, pełni rolę wprowadzenia do historii oraz zapoznaje nas z jej protagonistką, Kamalą Khan. Przy czym nie jest to nudnawa geneza superbohatera, przez którą szybko przebrniemy, jeszcze szybciej o niej zapominając. W końcu jak można się nią znudzić, kiedy główną bohaterką jest nastoletnia muzułmanka, pisząca fanfiki o członkach Avengers? Umieszczenie bohaterki w wyznającej islam rodzinie pochodzącej z Pakistanu, to strzał w dziesiątkę. Powiew świeżości, ale też wprowadzenie do świata superbohaterów islamu, religii dotąd kompletnie w nim nieobecnej. To wyraża reakcja Marvela na czasy rosnącej dyskryminacji na tle rasowym i religijnym.

Z tego powodu wydaje mi się, że dobrym porównaniem do Ms Marvel będzie historia o Spider-Manie. Ponownie śledzimy losy uczącej się, nastoletniej osoby zdobywającej supermoce. Z tym, że jest to bardziej uwspółcześniona wersja Petera Parkera, a co najważniejsze kierowana do zupełnie innych odbiorców. Oczywiście komiks bawi wszystkich, jednak z Kamalą identyfikują się fani, którzy dotąd nie mieli tak podobnego do siebie

komiksowego alter ego. Marvel co jakiś czas wraca do swoich korzeni, które skupiały się na tym, by na kartach komiksów mogli się odnaleźć ich czytelnicy.

Komiks nie nastawiony na „wybuchy”

Ważne tematy, o akceptacji samego siebie oraz bardziej świadomego i otwartego spojrzenia na świat, są częścią przyjemnej i wciągającej historii. To nie zawył scenariusz trzyma nas przy komiksie, ale niesamowita główna bohaterka oraz luźny, nienachalny humor. G. Willow Wilson napisała opowieść, w której to nie akcja jest najważniejsza. Finał komiksu nie jest powodem, dla którego z niecierpliwością będziemy wyczekiwać kolejnych tomów, by poznać pierwsze prawdziwe zagrożenia czyhające na nową Ms Marvel. Bardziej interesujący jest mentalny, osobisty rozwój bohaterki: jak poradzi sobie z następnymi przeciwnościami losu oraz co z tego wyniesie.

Fabularnie przyczepić się mogę do jednej kwestii, która była dla mnie niejasna. W komiksie nie wyjaśniono, w jaki sposób Kamala została obdarzona nadludzkimi mocami. Dopiero przeszukanie Internetu rozwiało moje wątpliwości. Choć z drugiej strony można na to przy-

mknąć oko. Przecież, to nie jest główna oś fabuły.

Subtelne rysunki obrazujące świetny scenariusz

Adrian Alphona narysował ilustracje, które z kolorami Iana Herringa, w przyjemny dla oka i delikatny sposób przedstawiają historię napisaną przez G. Willow Wilson. Lekkie kadry idealnie współgrają ze scenariuszem komiksu. Z plansz nie bije patos wielkich bitew superbohaterów, z którymi przeciętnemu czytelnikowi może kojarzyć się Marvel. Raczej obrazują skromną i znacznie bardziej przyziemną sytuację w jakiej znalazła się Kamala Khan.

Ms Marvel jest niezwykłym komiksem. Jeśli szukacie do przeczytania nowego komiksu z cyklu Marvel Now wydawnictwa Egmont, to Ms Marvel będzie świetnym wyborem. Fabuła na czasie, barwni bohaterowie i ładne ilustracje, nic dziwnego, że dzieło G. Willow Wilson i Adriana Alphona zdobyło tyle nominacji, a w 2015 wygrało Nagrodę Hugo przyznaną rokrocznie za utwory z gatunku science-fiction i fantasy. Oby Kamala Khan zadebiutowała kiedyś na dużym ekranie. A może uda się połączyć jej historię z opowieścią o nastoletnim Peterze Parkerze?



Na końcu ulicy zarysował się już budynek szkoły, który przypominał mi, że to koniec tej chwilowej wolności. Taki się właśnie czułem – wolny – w czasie tej tygodniowej przerwy spowodowanej „ciężką” chorobą – mogłem robić właściwie, co chcę. Zero wysiłku psychicznego. Zero targania książek przepelnionych bezsensownymi i niepotrzebnymi informacjami. To po prostu było życie. A szkoła? Nauka? Istna strata czasu. Codziennie te sześć, siedem, osiem godzin na tym samym zapisanym sprośnymi żartami krześle, wsuniętym w tą samą, obklejoną gumą ławkę. A nauczyciel pod tablicą tylko „bla, bla, bla”. Ja siedzę, kręcę się na krześle, wzdygam, rysuję po blacie stołu, znowu wzdygam, rozglądam się, patrzę przez okno, gdy nagle pytanie: „Erazmie, bla bla?”. Wpadam w histerię, przecież nie słuchałem, próbuję się wytłumaczyć, aż w końcu odpowiadam tym samym „bla”, jakby miało to jakiś sens. I tak właściwie każdy dzień, a takich przecież jest pięć w tygodniu! Gdyby te wszystkie dni zsumować, zdążyłbym na piechotę okrążyć Czarny Ląd, łodzią dopłynąć (ba! nawet wpław) do Meksyku, znaleźć nawet tę nieszczęsną zaginioną księgę Arystotelesa! A zamiast tego słucham tych wiecznych „bla”, obecnych od pradziejów chyba.

Franciszek Porayski-Pomsta przedstawia **Lekcje obiecane**

Potem wchodzi się w dorosłe życie i pytają już sensownie: „a holownik potrafi pan prowadzić?”, „a umie pan frytki na oleju smażyć?”. Gdzie jest więc w tym świecie to „bla” jak nie w szkole? Ale wpadłem w tę pułapkę, wpadłem, bo nie wiedziałem, co może być innego poza tym „bla”. Tak, poszedłem do liceum i teraz mam ochotę wypowiedzieć posłuszeństwo światu, wypowiedzieć posłuszeństwo przede wszystkim temu „bla”! Ale to, jak na początku zdawało się, ojcowskie objęcie przez szkołę teraz okazało się objęciem kata, który chce do szamba mnie wrzucić. Bezsens, bezsens i po trzykroć bezsens!

Takie filozoficzne czy może bardziej anarchiczne rozmyślania napadały mnie często. Wiem, że wszyscy takie mają. Każdy nad tym się zastanawia, ale trudno to ujawnić, bo każdy w tyle głowy ma zawsze to wytłumaczalne „bla”, niezwykle przecież przekonujące. Jednak nigdy do niczego to nie prowadzi, chyba że do paranoi, depresji czy szaleństwa.

Szare niebo południa było tak szare jak moje myśli. Szedłem parkową alejką wśród łysych, smutnych drzew. Cienka warstwa śniegu pokrywała błotnisty trawnik pozbawiony teraz wesołej zieleni. Spojrzałem jeszcze raz w stronę tego przekłętego, szkolnego budynku i zobaczyłem garbiące się pod drzewem plecy Osmana. Mój zacny kumpel!

– E, Osman! – krzyknąłem.

Osman odwrócił się – miał zmęczoną, pomarszczoną ze zmartwienia twarz. W prawej drżącej dłoni trzymał niedopałek papierosa. Zaciągnął się, jakby wzdychając, i podniósł drugą rękę w geście powitania.

– Witaj, Era. – Podeszedłem do niego i poklepałem po ramieniu, mówiąc:

– Co ty taki zmartwiony, co, Osman? Znowu te kobiety? – Uśmiechnąłem się w nieco złośliwym grymasie. – Mówiłem ci już...

– Nie kobiety, Era – przerwał mi. W tych słowach było coś dramatycznego, bardzo dla mnie przejmującego.

– To co?

– Oj, gdybyś wiedział, gdybyś wiedział... – Zaciągnął się po raz ostatni, podeszedł do kosza na śmieci i wyrzucił niedopałek.

– Co „gdybym wiedział”? – Sytuacja wydała mi się dość komiczna, więc parsknąłem śmiechem. Coś jednak mi mówiło, że odpowiedź nie wniesie nic dobrego.

– Odeszli, odeszli! – Spojrzał na mnie swoim zrozpaczonym wzrokiem. Zadrżał w swoich posadach, a następnie wyjął chusteczkę i ze zdecydowaniem i złością wysmarkał się w nią, jakby te gluty były uosobieniem jego nieszczęścia.

– Osman, opanuj się! Mów wreszcie! Kto odszedł?! Kto odszedł?!

– Oni, nauczyciele. – Wbił wzrok w moje buty, jakby rzeczywiście go interesowały. Byłem kompletnie oszołomiony. Ten człowiek bredzi! – myślałem. Do czego on się doprowadził?

– Jak to „odeszli”? – pytałem dalej.

– No tak po prostu – nie ma ich – odpowiedział, westchnąwszy już po raz wtóry.

Nerwowo zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu papierosów, ale wyjął tylko pustą paczkę. Zawiedziony, schował ją z powrotem. – Znikli cztery dni temu – kontynuował – i nie ma po nich śladu! Żadnego śladu... Słyszysz? żadnego... Nie ma ich, nie ma lekcji. Nie ma lekcji, nie ma nas...

– Bredzisz, Osman, bredzisz! – powiedziałem w fali złości. Ta rozmowa mogła mnie zaraz doprowadzić do nieopanowanego szału.

– Nie bredzę, Era! Idź, przekonaj się sam – odparł wcale nie łagodnie.

– Nawet jeśli tak jest, to co w tym złego? – Toż to wspaniała wieść! – myślałem. Bez nauczycieli nie ma lekcji, bez lekcji jest czas wolny. Bardzo klarowne rozumowanie!

– Oj, Era, nie rozumiesz nic... Głupi byłeś i taki pozostałeś. Nie może przecież tak być! Świat ma swój porządek, a częścią świata jest szkoła. Bez niej to wszystko runie! Runiemy i my, spójrz tylko na wszystkich naszych kolegów, na nasze koleżanki... Na mnie spójrz, Era! – Spojrzałem i przekonałem się, że mówi prawdę – człowiek, który przede mną stał, nie był tym samym Osmanem widywanym przeze mnie na co dzień. Osman był zawsze dumnie wyprostowanym, emanujący swoją siłą fizyczną mężczyzną (nie chłopcem). Należał do jednych z najbardziej buntujących się uczniów, dlatego był powszechnie lubiany wśród rówieśników, wręcz wielbiony, w szczególności przez dziewczęta. To przecież on beczelnie głośno rozmawiał na wszystkich lekcjach, przerywając rozwścieczonym i będącym na granicy wytrzymałości nauczycielom. To on na przerwach wyganiał wszystkich z męskiej toalety i następnie wypalał po paczce papierosów z kolegami. To on był inicjatorem i wykonawcą słynnej akcji, w której to na murze okalającym szkołę napisał „Nasza Polska już umarła, a my wciąż żyjemy” (nie rozpoznano jednak w nim sprawcy tego chuligaństwa) w skutku nieszczęsnych wydarzeń politycznych poprzedzające ten incydent. Ten szkolny Belzebub, człowiek nieuchwytny i nieokiełznany, a przynajmniej za takiego go wszyscy go uważali, teraz się złamał. Nawet papierosy palił nie na terenie szkoły, a potem wyrzucał je do kosza! Coś niebywałego!

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. W końcu obróciłem się na pięcie i ruszyłem w kierunku szkoły, zostawiając Osmana z tyłu. Ten po chwili ruszył za mną, ale celowo, jak przypuszczałem, nie chciał mnie dogonić. Minąłem zaparkowane wokół chodnika samochody i objąłem wzrokiem budynek szkolny. Wyglądał... tak jak zwykle. Smutny, cichy, przypominający niemal więzienie, co podkreślały kraty na pierwszym i drugim piętrze. Nienawidziłem tego miejsca tak bardzo...

Wtedy też zaśmiałem się na pełny głos. Jaki żartowniś z tego Osmana! – pomyślałem i odwróciłem się do niego. Kolejny z jego słynnych kawałów! Nadal bezbłędny!

– Dobry jesteś, Osman. Znowu wygrałeś! – Podszedłem do niego z wyciągniętą ręką. Wiedziałem, że to bardziej mój gest rozpaczy i próba upuszczenia emocji. A postawa Osmana pozostała taka sama. Nawet nie poruszył swoją ręką.

– Era, przestań. Wejdz, zobacz.

Ostatnia nadzieja pękła niczym bańka mydlana. Byłem już pewien, że Osman nie chce mnie zrobić. Zbyt dużo tragicznej szczerości było w jego słowach i postawie. Mimo jego wcześniejszego wywodu, nie uważałem nadal obecnej sytuacji szkolnej za jakąś tragedię – wręcz przeciwnie!

Pokonałem murek za pomocą przymkniętej furtki, a następnie mocno pociągnąłem za drzwi prowadzące do wnętrza tego przekłętego, szkolnego budynku. Na pierwszy rzut oka był taki, jak zawsze – ten sam korytarz, te same schody, te same zimne ściany obwieszone nieraz zesłorocznymi („Wesołych świąt” wisiało obok „Wesołego jajka!”), o których wszyscy już zapomnieli. Spojrzałem wtedy na podłogę i bardzo się zdziwiłem – wzdłuż ścian leżały śpiwory. Wszystkie nie były teraz w użyciu, dostrzegłem tylko kilka zwiniętych z zimna w kłębek ciał. O ich obecności świadczyło ciche pochrapywanie.

– Co oni tu do cholery robią? – spytałem wchodzącego właśnie Osmana.

– To, co robią już od dwóch dni – śpią.

– Śpią, powiadasz! – histerycznie się zaśmiałem. – Przecież mogą iść do domu! Odpoczynek, zabawa, byłby na wszystko czas! – Czekałem na odpowiedź przyjaciela, ale się jej nie doczekałem. Osman zaczął wchodzić po schodach, a ja poszedłem za nim. Jeszcze raz spojrzałem na śpiących i po włosach rozpoznałem kilku znajomych. To jest nie do uwierzenia – myślałem, targając się za włosy. Moje czoło pokrył zimny pot. Czułem się, jakby moje chwilowe, oczywiście mocno wyolbrzymione przeziębienie powracało ze zdwojoną siłą. Wkrótce miałem się przekonać, że to początek czegoś znacznie groźniejszego.

Na półpiętrze od zawsze wisiały portrety trójki wybitnych twórców – Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i... jeden z portretów znikł, zauważyłem. Zwróciłem się do Osmana:

– Ej, gdzie ten trzeci portret?

– Trzeci, jaki trzeci? – udał zdziwionego. Tylko na chwilę się odwrócił, potem zawstydzony kontynuował wspinaczkę.

NASZA TWORCZOŚĆ

– No, przecież był! Ten... jak mu tam?... Czytaliśmy nawet jego książkę, pamiętasz? Witold miał na imię, no nie? O, wiem! Gombrowicz. Witold Gombrowicz. Przecież jak byk tu wisiał.

– Nie zwracaj mi głowy – odparł krótko. Otworzył drzwi sali z naprzeciwka. Usłyszałem dobywające się ze środka dźwięki – zdawało się, że trwa lekcja.

Przez zainteresowanie następną sceną zapomniałem szybko o brakującym portrecie i kilkomu susami pokonałem ostatnie schodki, i wszedłem do sali, w której był już Osman. Przez rolety zasłaniające okna było mrocznie, a gdy Osman zamknął za mną drzwi nie było prawie nic widać.

– Witam, koledzy i koleżanki – powiedziałem nieśmiało, ale szybko zostałem uciszony stanowczym (belferskim?) „ciiii”. Zacząłem więc wraz z nimi słuchać tego dźwięku, który usłyszałem już przed salą. Zorientowałem się, że było to nagranie – gdzieś pod tablicą widać było lekką poświatę dyktafonu czy telefonu „... Zapamiętajcie, najgłębsze jezioro to Hańcza, największe to Śniardwy. Powtórzcie!...” To nasz pan Kołtuszewski, nauczyciel geografii! Musieli nagrać lekcje! Boże, Boże, co się dzieje?

Zbliżyłem usta do ucha stojącego obok mnie Osmana i spytałem:

– To pan Kołtuszewski, tak?

– Zgadza się. Milcz.

W całej sali panowała cisza jak na cmentarzu. Tymczasem z nagrania dochodziły wyraźne rozmowy równorzędne z monologiem Kołtuszewskiego. „Ale bądźcie cicho! Przeszkadzacie mnie, sobie i swoim kolegom!” – rozległ się głos nauczyciela z magnetofonu. Dostrzegłem w tym słuchaniu coś w rodzaju rytuału. Ciemno, cicho, pełne skupienie. Jakaś atmosfera snu panowała w tym pomieszczeniu – wydawało się, że wszyscy narkotyzowali się tym nagraniem. Wdychali, a właściwie wpuszczali dźwięk do swoich uszu i napawali się tą chwilą.

Dość, dość! – pomyślałem. Muszę tę farsę zakończyć! Tak być nie może, to nienormalne...

Ale moje działania poprzedziło nagłe przerwanie nagrania. Odgłosy ruchu ciał, szurania krzeseł natężyły się z każdym momentem, zaczęły się dobywać z uczniowskich ust szepty, aż przerodziły się we wrzaski. Trudno było rozróżnić, co chciano przekazać.

– Puście od początku! – najgłośniej ktoś krzyknął.

– Nie, nie ma szans! Teraz historia!

– Zabijcie mnie! Zrobmy teraz wypracowanie na lekcji. Podaję temat: „Tristan i Izolda w świecie...”

– A co, jesteś nauczyciel? – Wszystko stawało się coraz agresywniejsze. Teraz zdawało się, że za chwilę wybuchnie bójka. – Nie masz prawa decydować!

– Nikt nie ma, więc ty też! – rozległa się riposta.

– Spróbujmy zatem demokratycznie! – odezwał się inny głos. – Kto jest za...

– Cichaj, Michalski!

Osman zaczął związać rolety. Momentalnie szarawe światło wdarło się do pomieszczenia i ukazując smutny widok. Kilkoro uczniów, bo i uczennice zaczęły brać udział w kłótni, wstało z krzeseł i wydierało się na siebie, reszta zaś grzecznie siedziała w ławkach. Niezgoda i chaos, które zaczęły tu panować, przypominały o braku tej jakże potrzebnej dyscypliny zapewnianej niekiedy przez nauczycieli. Sam wtedy miałem ochotę wybiec na korytarz i odnaleźć belfra, i błagać go o łaskę! O przywrócenie porządku w tej sali! Tak przecież nie można, nie można...

Z tego krótkiego rozmyślenia, które uznałem za pierwsze symptomy tej zaraźliwej, szkolnej choroby, na którą tu chyba wszyscy już zachorowali, wyrwał mnie Osman. Skończywszy związanie rolety, stanął pod tablicą i z rozpaczą, początkowo bezskutecznie, krzyczał:

– Opanujcie się, moi drodzy! Jesteśmy w szkole! Już zajmijcie miejsca, zaraz wszystko na spokojnie ustalimy... Michalski, do jasnej cholery, cztery litery na krześle! – To przynajmniej podziałało. Na twarzy Michalskiego pojawił się wyraz buntu, ale ostatecznie grzecznie usiadł. Wewnątrz rozpierało go niezwykle szczęście, że ktoś w końcu przejął pałeczkę utęsknionego nauczyciela i przyprowadził go do porządku. Reszta klasy po kilku krzykach Osmana również uspokoiła się i zasiadła na miejscach. Mój przyjaciel otarł pot z czoła nadgarstkiem, chwycił kawałek kredy i jął pisać na tablicy te słowa: „Temat lekcji:”. Nie, nie! Tak nie może być – przeszło mi znowu przez głowę. Uczniowie powoli wracali do klimatu „starych” czasów – szeptali między sobą, dźgali się palcami, kopali pod ławką... A one nie mają prawa wrócić! Jak to zatrzymać? Gdy Osman zaczął zbierać propozycję tematu lekcji, ja rozglądałem się po pomieszczeniu, szukając czegoś, co mogłoby zatrzymać ten koszmar. Wtem przypomniałem sobie – dzwonek! Dzwonek zawsze budził wszystkich z nudy lekcyjnej!

Niepostrzeżenie wybiegłem z klasy. Na lewo od drzwi wisiało to zarówno piękne i straszliwe urządzenie. Musiał być wyłączony, bo, mimo że byłem tu już więcej niż 45 minut, nie zadzwonił ani razu. Włącznik musiał być w pokoju nauczycielskim, w którym również znajdował się sekretariat. Szybko zbiegłem po schodach.

To tu zmęczeni, zdenerwowani nauczyciele wylewali swoje żale w litrach kawy i herbaty, układając liczne kserówki w wyblakłych i podartych już teczkach. Przestraszyłem się jakoś tego miejsca. Zawsze trwało tu jakieś życie, teraz – nic, cisza. Wszystko sprzątnięte, poukładane, zero papierów, komputery wyłączone, krzesła na stole, kubki w szafkach... Podeszedłem do biurka, na którym stała tabliczka „sekretariat”. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że połączenie pokoju nauczycielskiego i sekretariatu to bardzo słaby pomysł, ale zabrakło pokoiów w budynku. Próbowano przeznaczyć na to szatnię chłopców, a zamiast tego ci przebieraliby się w toaletach, ale po wielkim buncie plan ten został wycofany.

Na biurku stał wielki telefon stacjonarny z sekretarką, oraz z kilkoma przyciskami. Prędko znalazłem opcję włączania dzwonka i z premedytacją nacisnąłem przycisk. Zdawało mi się, że cały budynek zaczął się trząść od tego drażliwego dźwięku rozrywającego na strzępy uszy i przyprawiającego o zawal. Ta farsa na górze musiała się właśnie zakończyć – pomyślałem z satysfakcją. Udałem się do holu, by się upewnić w swoich przypuszczeniach.

Pierwszym zbiegającym ze schodów był Michalski. Ślina ciekła mu z pyska – o tej godzinie biegł do sklepiu szkolnego zaopatrzonego w niczego sobie kanapki. Za nim z Boryszewskim przepychał się Gruszka, a za nimi Jadwinia... Chyba już wszyscy biegli. O tej godzinie zaczynała się dwudziestominutowa przerwa – moment jedzenia, spacerowania, palenia, dyskusji...

Wiedziałem, że zaraz spotka ich rozczarowanie – szkoła wcale nie wróciła. Oparłem dłonie na biodrach i z cwaniackim uśmieszkiem oglądałem swoje nikczemne, choć postrzegałem je za wybawicielskie, dzieło. Ostatnim ze schodzących był Osman. Szedł powoli, z rękoma w kieszeniach. Zdawał sobie sprawę ze swojej organizacyjnej porażki.

– Co, Osman? Czy coś się stało? – spytałem, by tylko odczuć jeszcze większą satysfakcję.

– Myślisz, że jesteś mądry, co? – odpowiedział zażenowany. – A my głupi, tak?

– Może tak, może nie... – uśmiechnąłem się, podeszedłem do Osmana i poklepałem go życzliwie po ramieniu. Wyglądał jeszcze gorzej, a mimo tego nie czułem żadnych wyrzutów sumienia, bo uważałem wszystko, co robię, za dobre.

– Prędzej czy później ty też tak skończysz.

– Nie sądzę, Osman. To wy macie jakieś upośledzenie. Ba! Nazwałbym to nawet zboczeniem. Zawsze postrzegałem was za normalnych, chcących zniszczyć ten okropny system i tęskniących za wolnością. Tymczasem znajduję ciebie jako największego kujona, pupilka... Inni podobnie. Dobra, Osman, idę do domu. Nie ma co tracić czasu.

– Idź, idź. Zobaczysz, Era – wrócisz.

– Osman, tobie też dobrze radzę: skończ z tym przedstawieniem. Skończ z tą głupotą... Wiesz, jakie powinno być nasze hasło? My w Polsce nie znamy pojęcia lekcji za wszelką cenę. – I z tymi jakże pięknymi, zdawało mi się, słowami, ruszyłem w kierunku wyjścia. Osman obserwował mnie, spojrzał na zegarek i nastawił stoper. Wróci – musiał pomyśleć. Na pewno wróci. Wróciłem ja, wrócił Michalski, Gruszka... My wszyscy wróciliśmy.

Ostatni raz obejrzałem się i zobaczyłem, jak Osman przemawia do rozczarowanych nieszczęśników. Rozdawał im jakieś zwinięte w rolki plakaty.

Wyszedłem. Wziąłem głęboki oddech. Czułem woń wolności. Pokonałem murek i nagle w moim gardle poczułem gulę, podobną do tej, którą odczuwa się podczas płaczu. Jakaś wielka siła zatrzymała mnie w miejscu. Upadłem na chodnik i w niekontrolowanych spazmach histerycznego płaczu jęczałem z niewiadomego powodu. Ukryłem twarz w dłoniach. Przez palce zaczęły mi przepływać łzy, fale łez. Nie mogłem tego opanować, działo się coś strasznego. Wstyd mi było, ale wiedziałem też, że tak być musi... Czemu? Nie miałem pojęcia.

Znowuż ta sama straszliwa siła kazała mi się podnieść z chodnika i skierować spojrzenie na szkołę. Chłopaکی właśnie rozwieszali małe i większe plakaty z napisami: „Dbaj o umysł. Tęp lenistwo!”, „Zuch uczeń”, „Witamy z powrotem, drodzy Nauczyciele!”, „Tęsknię. Uczeń.”, „Nie zapomnieliśmy o Was, nie zapomnijcie o nas!”, „Nauczycielu, ty decydujesz, jak będzie wyglądał nowy kraj!” itd.

Osman ruchem ręki zaprosił mnie do pomocy. Z wielką chęcią (jak to możliwe?!) niemal pobiegłem do niego.

Tak, wróciłem.

Kajetan Chlipalski przedstawia:

HISTORIE Z ŻYCIA WZIĘTE



Krystyna, lat 45

- Wiesz jak szybko kwiaty więdną – powiedział Karol i wręczył mi mój wymarzony obrotowy mop z pięcioma wymiennymi końcówkami. Bardzo się ucieszyłam, długo o nim myślałam. W sumie, praktyczne prezenty są o wiele przyjemniejsze.



Sławek, lat 34

Niedawno zbliżała się rocznica moja i mojej ukochanej żabki. Postanowiłem, że trzeba to jakoś uczcić. Jako, że w naszej miejscowości nie ma dużo do zaoferowania, a u mnie krucho z kasą to do wyboru miałem nie wiele. Zastanawiałem się nad piknikiem, pójściem do restauracji i wyjazdem z miasta, Jak jednak wspomniałem nie mam dużo pieniędzy, więc wybrałem coś wyjątkowego. Sandra od dawna chciała zrobić sobie tatuażyk, więc zapisałem ją do naszego miejscowego salonu. Wybrałem dla niej konkretny tatuażyk – „Sentino” moją ksywe. Tego dnia jednak ona pierwsza chciała mnie gdzieś zaprowadzić, jakie było moje zaskoczenie kiedy okazało się, że ona również zaplanowała dla mnie tatuaż. To jest prawdziwa miłość, zrobiłbym dla niej wszystko.



Paweł, lat 47

W poprzednim tygodniu byłem z moją córeczką na spacerze, kiedy przechodząc koło pobliskiego zoo Ala zobaczyła Pana sprzedającego lody.
- Tato, tato! Proszę kup mi lody!
- Lody, lody, dla każdego, dla ochłody!
Po kupieniu lodów, śpiewaliśmy sobie tę piosenkę aż do powrotu do domu. Ubawu było co nie miara!

GRUPA FASCYNUJĄCYCH LUDZI DZIELI SIĘ Z NAMI SWOIMI OSTATNIMI HUMORYSTYCZNYMI PRZEŻYCIAMI. KONIECZCIE PRZECZYTAJCIE CO W TYM MIESIĄCU MAJĄ DO OPowiedzenia KRYSZYNA, SŁAWEK, PAWEŁ, ASIA, BOGDAN ORAZ BASIA. DOBRA ZABAWA GWARANTOWANA!



Asia, lat 27

Kilka dni temu miałam okropną ochotę aby coś zrobić do jedzenia. Pomyślałam od razu o sałatce. Jako, że najlepiej gotuje się w grupie, zadzwoniłam do mojej koleżanki Kasi. Niestety nie odebrała i mój zapal od razu ostygł. Byłam bardzo strapiiona, martwiłam się i szukałam innego zajęcia, kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi. Stała przed progiem Kasia z torbą pełną owoców. Jakie było moje zdziwienie, kiedy powiedziała mi o robieniu sałatki owocowej. Bardzo się ucieszyłam, zrobiłyśmy razem nasze ulubione danie. Spotkanie było bardzo owocne.



Bogdan, lat 23

Pewnej soboty siedziałem na kanapie oglądając ulubiony serial. Przyszła moja dziewczyna bardzo zasmucona. Spytałem się jej:
-Co się stało? Czemu jesteś smutna?
-Dostałam awans, niestety moim kosztem zwolnili kogoś z roboty. W trakcie rozmowy z szefem zapadła grobowa cisza.
Po chwili zastanowienia, bezmyślnie wypaliłem.
-No cóż, żyć nie umierać!
Spojrzałem na Julie i od razu spostrzegłem jej uśmiech. Krzyknęła do mnie:
- Uwielbiam cię, że jesteś takim optymistą.



Basia, lat 41

Przez ostatni czas nawiedzały mnie demony przeszłości. Wszystkie kompleksy, z którymi myślałam, że się uporałam, ni z stąd ni zowąd nagle do mnie wróciły. Jako że jestem w bardzo szczęśliwym związku z moim ukochanym chłopakiem, chciałam rozładować na nim wszystkie swoje kompleksy i zmartwienia. W typowo dziewczęcym, kokietyjnym stylu zapytałam go: „Kotku? Jeśli miałabym przyjąć jakąś postać, którą kochasz najbardziej, to na co byś się zdecydował”? Widziałam Piotra zastanawiającego się przez chwile na ławce w parku. „Wybrałbym postać piwa. Tak, wybrałbym piwo” – powiedział z uśmiechem na twarzy. Wybuchłam śmiechem, nie oczekiwałam takiej odpowiedzi ale poprawiła mi humor. Śmiałyśmy się do rozpuku, bardzo kocham swojego misia.

